Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 32. Poznań, dnia 4. Listopada. 1839.

Literatura zagraniczna.

Der Mond nach seinen kosmischen und individuellen Verhältnissen, oder allgemeine vergleichende Selenographie, mit besonderer Beziehung auf die von Verfassern herausgegebene: *Mappa Selenographica* von W. Beer und J. H. Mädler. 2 Theile mit 5 Tafeln. **Berlin 1837.** (7 Thlr.)

(Ciąg dalszy.)

Kiedy więc konjekturalna astronomia nie ma stalszéj podstawy, jak jest prawdopodobieństwo i domysł, wielkość żadnemi nie zamknięta granicami, któréj przeto żadną znajomą miarą mierzyć nie można; ponieważ nie wiemy, gdzie się ta możność zaczyna i gdzie kończy: łatwo się więc każdy domyśli, co należy sądzić o jéj budowie. Przy oznaczeniu granic jakiéj włości, jest zwyczaj bić wiejskich chłopaków na świeżo usypanych kopcach, aby nie zapominali tych wybitych granic; lecz pseudo herszlowskie kuglarstwo dowiodło, że i ludzie w wieku potrzebowaliby także tego niegrzecznego napomnienia, aby nie spuszczali z pamięci granic rozumu ludzkiego. Cóż dopiero mówić o poetycznych marzeniach, nie potrzebujących nawet oglądać się na to, czy się co zgadza z rozumem lub nie, albowiem poezya ma to jedyne z wielkiemi panami wspólne, że się bez rozumu łatwo obejść może. Dla fantazyi jest księżyc to elizejskiem polem, to znowu świadkiem miłośnych zapałów. Cały firmament stoi ciągle gotów do poetycznéj usługi: czy to człowiek zanurzy się myślą w téj gwiaździstéj głębi i z owych błyszczących punkcików, jako niebieskich głosek, niebieskie syllabizuje hieroglify, czy też serce jego otwarte ogarnia swą miłością wszystko stworzenie. Romanse i komedye, które ludzkich napowietrznych żeglarzy, jak np. Gawła na księżyc balonem zanoszą, mogą mieć allegoryczno-satyryczną wartość; ale się zrzec muszą pretensyi do wyjaśnienia prawd astronomicznych lub fizycznych. Taka lunaryczna poezya jest niewinną zabawą, upustem wezbranych marzeń poetyckich. Lecz znajdują się podobne romanse, w których extrakt wszelkiéj poezyi, to jest znajomość ludzi, tak jest cienki i subtelny, jak nasza znajomość ciał niebieskich, w których oderwani autorowie kręcą się, jak chrąbąszcze z rozmaitą prędkością koło jednéj świetnéj chimery. Są to tuzinkowi poeci, mający w swéj poetycznéj skrzyni, tak jak przełożony nad teatralną garderobą na pogotowiu książąt, hrabiów, wielkich panów, wraz z ich godnemi małżonkami: księżnemi, księżniczkami, hrabinami etc. etc., a którzy o dworskiem życiu tyle wiedzą, co astronomowie o atmosferze księżycowéj, to jest, że jest niezmiernie subtelną i rzadką. Jest wprawdzie rzecz niewinniejsza spotwarzać Selenitów, niż bliźnich swoich ludzi, i fizyczne kłamstwo mniéj jest od moralnego szkodliwe; z tem wszystkiem niewczesne połączenie nauki z poezyą, miesza wyobrażenia zwłaszcza tych, którzy naukowe rezultaty dopiero z drugiéj ręki odbierać zwykli.

Ale dajmy pokój obłąkaniu, rozumu i marzeniu rozbujałéj imaginacyi. Może jesteście teraz ciekawi, (a może też nie bardzo,) dowiedzieć się o prawdziwych rezultatach téj nauki; bo wszystko, co wam dotąd powiedziałem, powinno było bardziéj zaostrzyć, niż zaspokoić waszę ciekawość. Kto inny możeby korzystał z téj okoliczności, aby się z głęboką popisać erudycyą, zasypałby was stósem formuł lub technicznych wyrazów do zrozumienia trudnych; ale ja, wiedząc o tem dobrze, że jesteście prawie wszyscy ważniejszemi, niż są nauki, rzeczami zajęci; podam wam na próbę z wymienionego dzieła Beera i Mädlera krociuchne szczegóły, jak się posyłają kawałki cukru z nowo otworzonéj cukrowéj fabryki, dla przekonania o jego dobroci. Byłaby bowiem nieludzkość, wymagać od was, gorliwi czytelnicy, tyle heroizmu, abyście potężne dwa kwartanty dzieła tego, sami przeczytać mieli; kiedy domyślam się, że i ta mała, dla was pono zbyt obszerna rozprawka, nie jednego już i tak, okropnie nudzić zaczyna. Są bowiem między wami tacy, coby im wszelką naukę na bonbonki zawijać trzeba, żeby ich wstręt od niéj przezwyciężyć.

Otóż okryto hemisferę księżyca siatką wyrażającą stopnie, i podług rozmiaru geometrycznego, umieszczono w nich wszystkie ważniejsze punkta, to jest góry, kratery, doły, szczeliny i inne osobliwości, z taką ścisłością, że ta karta księżycowa dokładniejszą jest od mappy europejskiéj, a cóż dopiero mówić o Afryce, Azyi etc. W oznaczeniu bowiem długości i szerokości geograficznéj głównych miejsc, tylko o pół mili pozostaje wątpliwość; a wiedzieć wam trzeba, że przedmiot jakikolwiek na księżycu, aby mógł być od nas za pomocą naszych optycznych narzędzi dostrzeżony, musi mieć przynajmniéj 1500 stóp średnicy lub wysokości.

Rzuciwszy okiem na wzmiankowaną tu kartę, łatwo można sobie wystawić ogrom podjętéj precy i zwalczonych trudności. Zaczyna się to dzieło od ogólnéj matematycznéj części, gdzie wyłożone są w krótkości: droga księżycowa, postać, massa, miąższość, bieg wirowy etc. wraz z porami roku, dniami i nocami na księżycu, zaćmienia na księżycu i ziemi; kończy tę część szczegółowy przegląd niebieskiéj sfery z księżyca, jako środkowego punktu uważanéj.

Specyalna matematyczna część zawiera na wstępie dwie tabelle samych nomenklatur, z których jedna służy do zoryentowania się przy różnych przez Selenografów jednemu przedmiotowi nadanych nazwiskach. Poczem następują liczne, bo kilku tysięcy sięgające rozmiary długości, szerokości, średnic, wysokości, głębokości, wraz z zupełnemi rachunkowemi formułami i przykładami. Jaka $\frac{1}{12}$ część téj mozolnéj pracy wzięta jest z dzieł Lohrmanna, reszta nowozupełnie utworzona. 106 głównych punktów z wzmiankowaną powyżéj precyzyą jest oznaczonych, inne przyległe w liczbie 500 — 600, są także z tych głównych stanowisk na skalę wyrażającą w 3 stopach średnicę księżycową, 468 mil wynoszącą przeniesione; 150 kraterów i gór pierścieniowych wymierzone są średnice w milach i ich setnych częściach; a za pomocą rozmiarów cienia przez góry rzucanego i porównania go z oddaleniem od światła i położeniem kuli miesięcznéj, drugie tyle wysokości gór obrachowanych, wymierzonych i w paryzkich toizach wyrażonych. Wykaz tych szczegółów może się nie jednemu zdawać nudny, ale kto wie, że w astronomii każda prawda na matematycznéj podstawie koniecznie opierać się musi; temu udzielenie onychże nie tylko jest pożądane, ale oraz najpewniejszą rękojmią, że autorowie tego dzieła nie podawają tu domysłów, ale pewne, matematyczne wyniki.

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Trzy pieśni.

I.

Piosenkę, zanucę dziś tobie,
Lecz pieśń ma, jak wierzba płacząca,
Marząca o jutrzni na grobie,
W żałobie za szczęściem tęskniąca.

Pieśń moja gra w piersi szalonéj,
Jak fala, co z trupem się pieści,
I wieści méj duszy strwożonéj,
Obłudnie, jak uśmiech niewieści!

Pieśń moja do grobów przypadła,
Jak wianek do trupa dziewczyny,
Jak pająk do róży usiadła,
Jak żmija w kolebkę dzieciny.

Gdybym sam pieśń moję usłyszał,
Twarz moja przestrachem by zbladła,
Przestrachem bym płuca zadyszał,
A w serce śmierć by się zakradła!...

II.

Piosenkę, dziś tobie zaśpiewam,
A pieśń ma tak jasna i świeża!
Ja pieśnią — sztandarem powiewam,
Gdy serce zapałem uderza! —

Pieśń moja gra w piersi bijącéj,
Jak łono pod strojem godowym,
Jak miłość w źrenicy iskrzącéj,
Jak czoło pod liściem laurowym.

Pieśń moja po jasnym miesiączku
Ku lubéj dziewczynie się ciska,
Na ust jéj różowych drży pączku,
I w cieniu jéj źrenic połyska.

O! gdy sam pieśń moję usłyszę,
Twarz moja rumieńcem wybije,
W błogich się nadziejach kołyszę,
Marzący — szczęśliwy — ja żyję!...

III.

Piosenkę zanucę dla ludzi,
A pieśń ma jest pieśnią swobody;
Umarłych i śpiących pobudzi,
I będą jéj słuchać narody.

Pieśń moja na niebie wybiła,
Sam Ojciec w akordy ją splata,
W promieniach ją słońca posyła,
Ażeby zagrała dla świata!...

Pieśń moja na serca narodów,
Jak wiosna na ziemię powiała, —
I rzeki trysnęły z pod lodów,
I puszcza się liściem odziała!

Ja Anioł, — gdy pieśni te moje
Usłyszę, — w rozkoszy zachwycie,
Chciałbym się kołysać w błękicie
I w nieba niewracać podwoje!...

19. Paźdz. 1839. *E. W.*

Wyjątki z Stefana Czarnieckiego,
Powieści M. Czajkowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Hrabia z Châtre z panem wojewodzicem Kaliskim zauważyli, że Jan Czarniecki zakończył polskiego z panną Lanckorońską, i teraz z nią rozmawiał wesoło, swobodnie, jak gdyby panował między niemi jakiś rodzaj poufałości. Hrabina z La Grange okiem złośliwego uśmiechu wskazała to im, a Montresor, czy przez ciekawość, czy przez chęć oddania przysługi przyjacielowi, zbliżył się do rozmawiającéj pary i słuchał. Piękna dziewica mówiła: »Pan sobie ze mnie żartujesz, on tu nie przyjedzie, nie porzuci Ukrainy, ja wiem, jak on ją kocha.« — »Panna hetmanówna myśli, że on nad Ukrainę nic bardziéj nie kocha. Ja ręczę, że dziś, jutro go zobaczymy; w ostatnich czasach stał się nieodstępnym towarzyszem mego stryja i ukochanym uczniem.« — » Czy pan myślisz, że on nieodstąpi pana kasztelana Kijowskiego?« — »Nie tylko myślę, ale pewny jestem. Niech mi jednak godzi się zapytać, dla czego on tak pannę hetmanównę obchodzi?« — »Nic dziwnego, razem prawie wzrastaliśmy. Jego ojciec najlepszym był przyjacielem mojego, dla niego opuścił dostojeństwa, dostatki; wreście pan wiesz, że w nieszczęsnéj wojnie domowéj, był ciągle przy moim ojcu, i z takiem poświęceniem się służył ojczyznie.« — »Szczęśliwy; niejeden poświęciłby korony, buławy, żeby być na jego miejscu.« — »Panie starościcu, niech pan porzuci pleść te madrygały, a lepiéj patrz pan na Annę Sapieżankę, jaka ładna.« — Staroście Zakroczymski spojrzał na piękną wojewodziankę, westchnął, ale nic nie powiedział. — Montresor zbliżył się do panny Lanckorońskiéj: »Kto widzi panią, ten wzroku od jéj oblicza oderwać niemoże.« — Staroście skłonił się mu rubasznie: »Obowiązany Waszmość panu, jestem, żeś mnie wyręczył.« — Panna Lanckorońska odrzekła bez zarumienia się: «Dziękuję panu margrabiemu za niezasłużoną grzeczność«, a wstając i biorąc za rękę pannę Potocką, dodała: »zostawujemy panów; niech też panowie między inne panie obdzielą piękne słówka, na których im nie niezabraknie; niegodzi się, żebym sama je zabierała;« i nieczekając odpowiedzi, poszły między grono niewiast.

Pan wojewodzic Kaliski zaszedł im drogę, i zaczął witać francuzką rozmową. Panna Potocka, chcąc przerwać te długie cudzoziemskie androny, zapytała: »Czy pan wojewodzic nieodebrał żadnéj wiadomości o Szwedach?« — »Mój ojciec na czele szlachty wielkopolskiéj, czeka ich w Uściu; w téj chwili może już ani jednego przy życiu niemasz.« — Panna Potocka popatrzyła na niego: »Pan tu, kiedy ojciec pański, pan wojewoda, mierzy się z wrogiem.« — »A któżby bronił płci pięknéj tego drogiego skarbu dla Polaka, gdybyśmy wszyscy do obozu wyruszyli?« — Dalszą rozmowę przerwał jakiś nadzwyczajny szmer po komnatach; już muzyka podstrajała instrumenta do zagrzmienia hucznym węgrzynem, albo skocznym drabantem, tańców podówczas w najpierwszéj modzie, kiedy nagle ucichła; i nawet pierwszego wyskoku niezadęła. Jedni drugich ciekawie pytali: »zkąd wyszedł rozkaz przerwania uroczystości? co za przyczyna rozkazu?« Rzuty oczów i ruchy ciała wtórowały ciekawości słów.

Król wyszedł spiesznie z panem Weslem starostą Makowskim, dowódzcą zbrojnéj załogi miasta Warszawy, i z nimi ojciec jezuita Krajewski.

Kiedy Marszałek nadworny do ucha królowi szeptał jakieś słowa, Jan Kazimierz pobladł, zafrasował się, ale uśmiechem chciał to pokryć. Marszałek kazał muzyce nierozpoczynać, a dostawszy się do królowéj, kilka słów jéj powiedział. Widać w oczach Ludwiki Maryi, jak usiłuje udać spokojność, nawet uśmiech przywusu poigrał z jéj ustami. Rozkazała marszałkowi dworu, aby muzyka grała węgrzyna, i aby zaprosił jéj na tanecznika pana Jana Czarnieckiego.

Muzyka zabrzmiała, tanecznicy ujęli za obie ręce swoje tanecznice, i w ciągłych obertasach kreślili koło po posadzce komnaty i za każdym obertasem, podwójnym hołubcem, przyklaskiwali w takt muzyce. Za obiegiem drugiego koła królowa stanęła i jakby wir tańca przyniósł jéj jakąś myśl szczęśliwą, uśmiechnęła się do swego tanecznika: »Pański ojciec dowodzi w Częstochowie, mamy nadzieję, że téj warowni nieodda nieprzyjacielowi.« — »Miłościwa Pani, żaden Czarniecki nieodbiegł, ani odbieży stanowiska, które mu król i ojczyzna do obrony powierzyli.« — »My też najwięcéj rachujemy na Czarnieckich i na im podobnych.« — »Póki ducha w piersiach, póki siły w dłoni stanie, póty walczyć będziemy za ojczyznę i za króla!« — Królowa podziękowała mu skinieniem głowy, i spojrzeniem, w którem na ten raz zabłysła cała potęga powabu niegdyś

młodéj księżniczki Gonzagi. Starościc uczuł w swojem sercu taką dumę, taką hardość, iż sam jeden gotówby uderzyć na całe wojsko Karóla Gustawa, z pewnością zwycięztwa. Ludwika Marya obróciła się do stojących kilku z młodzieży, między którymi znachodził się hrabia z Châtre i wojewodzic Kaliski: »Panowie nietańczą, to nie ładnie dla młodych ludzi.« Jeszcze coś przemówiła do hrabiny z La Grange, i zniknęła z bawialnéj komnaty.

Ochmistrzynia królowéj i marszałek królewskiego dworu, jak mogą, podniecają do zabawy, ale na darmo. Oddalenie się króla i królowéj, ciekawość i jakiś dziwny niepokój, niepozwalają hulać duszom; chociaż nogi skaczą, ciała się mordują, dusze jednak smętne. Wojewodzic spojrzał na hrabiego z Châtre: »Ten biedny starościc oszaleje, królowa do niego się przymila, panna hetmanówna jawnie affekt mu okazuje; żal mi go szlachetkę, już teraz nieporadzą biednéj głowie, tak się tam musiało przewrócić.« — »Panie wojewodzicu, możesz go wyleczyć prędzéj, jak kto inny.« — »Prawda, mój hrabio, proszę cię, przyspiesz między nami rozprawę.«

Już hrabia zbliżał się do starościca Zakroczymskiego, aby zapytać go o przyjaciela pojedynku, o naznaczeniu czasu i miejsca, kiedy wieść się rozeszła, że przybyli dwaj gońce z Kalisza. Jedni mówili, że już od dwóch dni zażarcie się biją pod Uściem, koryto Noteci trupami zawalone, bieg rzeki się zatamował; drudzy powiadają, że Karól Gustaw, okrążył Uście, i wprost do Kalisza poszedł. Byli tacy, co twierdzili, że wojewoda Kaliski ruszył konceptem, wielkopolską szlachtę na statki wsadził i spławił, gdyby pszenicę do Gdańska, na przecięcie drogi Szwedowi, i o tem dał wiedzieć do stolicy, prosząc o posiłki; a każdy klnie się, że słyszał z ust samego gońca. Niebawem jednak, prawda wyszła na jaw, smutna prawda, że dwadzieścia tysięcy wielkopolskiéj szlachty zbrojnéj, niedotrzymało pola kilkuset szwedzkim rajterom; wojewodowie dali przykład, uciekli, a szlachta bez wodza do domu się rozjechała, jakby z sejmików.

Tu w miejscu tańców i zabaw w drugiéj komnacie zaczęły się wrzaskliwe zwady i żwawe spory. Jakiś stary Litwin, rodem z Kowna Kiejstutowego grodu, mówił do stojącego obok siebie Wielkopolanina: »Pfe braciszku, dali drała Wielkopolanie, to niepięknie; tak się dziać niepowinno.« — »Litwinie, niedowiarku Boży, co ty tam mruczysz po niedźwiedziemu pod nosem? Wiedz o tem, że my Wielkopolanie zawsześmy gotowi pierwsi za ojczyznę.....« — Litwin niedał domówić: »uciekać, braciszku; to nie dobrze.« — »Bartniku przeklęty, zaraz cię tu nauczę, obetnę uszy, już mi się to nieraz trafiało,« i porwał się do szabli. Litwin z przyśmiechającą się twarzą, ani na włos gniewu nieokazał. »Braciszku, nie tak żwawo, na Szweda szabli dobądź, jemu zajrzyj w oczy, tu twoje zuchwalstwo nie na miejscu.« — Wielkopolanin się sierdził i byłoby może przyszło do czubów; ale nadszedł Rusin z Kijowskiego województwa: »Mospanowie, na bok prywaty, tu idzie rzecz o ojczystą sprawę. Zgoda między sobą, wrogowi nieśmy wojnę; i Litwini i Wielkopolanie, wszyscyśmy Polacy, wszyscy brońmy rzeczypospolitej.« A po chwili dodał: »Jeszcze nic nie stracono, pan hetman Polny, pan kasztelan Kijowski i chorąży koronny, ciągną tu z Rusinami, a Mospanowie wiecie, że Rusin to stary popraw; gdzie Wielkopolanin skrewi, Litwin pobałamuci, to tam Rusin dojedzie i swoje zrobi.

Obadwa obruszyli się na niego i obadwa razem zawrzeszczeli. — Wielkopolanin pienił się od złości: »Wy Rusini chamy, syzmatycy, wasza to sprawka, wszystko złe od was wzięło początek. Ten obwieś Chmielniczenko, nie wasze to brat? nie onże to zalał sadła za skórę ojczyznie? Przeklęte smoki.« — Litwin przygryzał wargi, i jak kot złośliwem okiem migotał: »Braciszku, nie tak się przechwalaj, Litwa was nieraz wojowała, byliście naszymi poddanymi.« — Kijowianin już podniósł rękę na odpowiedź, kiedy marszałek dworu nadszedł: »Panowie bracia, proszę o przyzwoitość w królewskiem mieszkaniu, niezapominajcie, gdzie jesteście!« I ten głos uciszył spory; a w tem nadszedł król i królowa.

Ludwika Marya była wesoła i poważna, ale Jan Kazimierz był smutny. Wojewodzic, choć stoi blizko panny Lanckorońskiéj, jak to mówią, zwiesił nosa na kwintę i nieśmie, ani spojrzeć jéj w oczy, ani przemówić. Hetmanówna z całą szczerotą dobrego serca grzecznemi słowami pociesza jego żal, i chciałaby rozproszyć te chmurki smutku, naniesione niepowodzeniem ojca. Hrabia z Châtre i Montresor śmieją i świegocą; nie o ich ojczyznę idzie, a wojny się nie lękają, owszem mężnem sercem jéj pragną. Pan starościc, przydany do pomocy panu Weslowi, wyszedł z nim, robić potrzebne rozporządzenia dla wojska. Wychodząc, okiem przymilenia spojrzał i na pannę hetmanównę i na siedzącą obok niéj Annę Sapieżankę, tak iż rzekła hetmanówna: »I pan Jan, widzę, zaczyna na Francuza się przerabiać.«

W jadalnéj komnacie gną się mnogie stoły, pod srebrnemi i złotemi przyborami; jak drzewa, jak piramidy, jak zamki piętrzą się serwisy, a u ich wierzchołka i po bokach płoną jarzęce pochodnie, i jasnem światłem łamią się w różnokolorowych kryształach; —

na postumentach stoją roztruchany i puhary z czystego złota i srebra, a na nich rznięte cyfry króla i królowéj, białe orły polskie, Litewskie pogonie, korona szwedzka, mitry ruskie, pruskie, inflandzkie i pomorskie, a wszystkie ozdobne różnobarwną emaliją i drogiemi kamieniami. Na śnieżnych obrusach półmiski i blaty srebrne, a na nich, tu pieczony indyk przybrany w pawie pióra stoi gdyby żywy; potworny szczupak kameryzowany galaretą barwy i przezroczystości rubinów i bursztynu; głowa odyńca kłami grozi i skrzy oczyma. Kupami pieczone bekasy, jarząbki, kuropatwy, pasztety z cietrzewi i kwiczołów sute zaprawne korzeniami. Łosoś hojnie oblany szafranem, karpie upstrzone migdałami i rodzenkami; w podlewach pływają sarnie czombry, i udźce zajęcze, melszpasy i grzybki rozmaitych kształtów i kolorów. Pośrodku stołu gmach z ciasta, nad nim wieża, nad nią z cukru cyfra A, nad cyfrą solenizantki, J. K. L. M., cyfry króla i królowéj, nad niemi królewska korona, a nad koroną, ciaściany drzewiec, z chorągwią białéj barwy z czerwoną, w środku rozpostarł skrzydła biały orzeł polski, i do pędu się natężył jeździec litewskiéj pogoni; a w około tego dziwowiska, pałace, kościoły, twierdze, wieże z ciast lukrowanych, ptiusiowych, toruńskich pierników i cykat; postawy zwierzęce i ludzkie i kwiaty z cukrów brylantowanych i matowych; w srebrnych koszach bakalie, owoce krajowe i zamorskie; w butelkach małmazya, cypryjskie wino, węgrzyn, pontak i ojczysty miód. Sztucce z jasnego srebra, porcelana saska, kryształy czeskie, królewska zamożność i królewski przepych wszędzie. Służba króla przybrana w czerwoną sajetę z srebrnemi naszyciami i srebrnemi łańcuchami na szyjach; dwornia królowéj nosi niebieską barwę ze złotem i złote łańcuchy.

Pan wielki kuchmistrz koronny zrobił przegląd półmisków; wielki podczaszy powiódł biegłem okiem po butelkach, puharach i roztruchanach, a marszałek dworu uśmiechnął się zadowolnieniem z arcydzieła wieczerzy.

Kto by widział te wszystkie przybory, ani by mu na myśl przyszło, że nieprzyjaciel mnogą liczbą, hardy powodzeniem, już jest pod nosem, a król ledwo ma kilkaset żołnierzy pod ręką ku swojéj obronie.

Jan Kazimierz nierad był z téj uczty, i co prędzéj chciałby ją zakończyć, ale Ludwika Marya, ta niejako uczennica ministra kardynała, chciała okazać w grożącem niebezpieczeństwie, zimny spokój panującego i uroczystą powagę tronu. Ona wie, że to najlepsze sprężyny do wzniecenia zaufania w narodzie i do zakupienia bezgranicznych poświęceń się.

Już muzyka poczynała zadymać polskiego, i miano iść do wieczerzy, już starosta Makowski i staroście Zakroczymski wrócili, zapewnić króla, że czaty porozstawiane i zwiady porozsyłane na wszystkie szlaki, kiedy jeden z dworzan oznajmił przybycie dowódzcy lekkich chorągwi pana hetmana Polnego. Jan Kazimierz z pośpiechem zawołał: »Niech przychodzi pożądany gość!« i naprzód postąpił.

Wszedł Krzysztof Wąsowicz, starosta Żytomirski, już podeszłego wieku, włos mu poszpakowaciał na wojaczkach ukraińskich, rossyjskich i tureckich. Z królem Władysławem świętéj pamięci był pod Moskwą, i jasyr tatarskiego hana go nie minął. Jana Kazimierza nigdy niewidział, i po raz pierwszy noga jego na dworze królewskim stanęła, a jednak z górą sześćdziesiąt lat przeżył. Skoro wszedł, powitał wszystkich ukłonem wojskowym i rzęsistym brzękiem szabli, i obrócił mowę do Wesla starosty Makowskiego! »Miłościwy królu i panie!« — Staroście Zakroczymski mruga, a mruga na Wąsowicza, i okiem wskazuje na Jana Kazimierza; ale Wąsowicz nic nieważa, jak cietrzew zatokował się w mowie: »Jaśnie wielmożny hetman polny koronny ciągnie z wojskami Waszéj królewskiéj Mości....« — Wesel się odwraca i Wąsowicz powraca się za nim. Jan Kazimierz zdziwionym wzrokiem rzuca w koło i sam nie wie, co to jest. Marszałek dworu spostrzegł to, zbliżył się, wziął za rękę Wąsowicza, gwałtem prawie obrócił go ku królowi: »Najjaśniejszy panie, przedstawiam Waszéj królewskiéj Mości pana starostę Żytomirskiego.« — W pierwszéj chwili Wąsowicz chciał mu wyrwać rękę, ale po jego słowach zafrasował się, pokręcił wąs, uniżenie się pokłonił, aż za kolana ułapił króla: »Przebacz, miłościwy królu i panie, prostactwu żołnierza. Małym jeszcze dzieciakiem widziałem króla Jegomości Stefana Batorego, jak szedł pod Wielkie Łuki i Psków, nosił zawiesisty wąs. I świętéj pamięci ojciec Waszéj królewskiéj Mości pod Smoleńskiem w obozie, twarz miał strojną w wąsy. I król Władysław, pan mój i dobrodziéj za przeproszeniem majestatu królewskiego, jak sum miał ogromne wąsy; ja myślałem, że król bez nich być nie może; przebacz, miłościwy panie.« — »Panie starosto, nie gniewamy się, jak pobijemy Szwedów i my zapuścimy wąsy. Ale jakie nam wieści przynosicie od wojska? Panowie hetmanowie, pan kasztelan, zdrowi?« — »Na usługi Waszéj królewskiéj Mości. Jutro przyjdą przednie straże do Warszawy z panem kasztelanem Kijowskim; po jutrze nadciągnie pan hetman polny, a niebawem za nim pan chorąży koronny z tylnemi strażami. Pan hetman koronny trzyma na wodzy Tatarów, Moskwę i zdrajcę Chmielnickiego.« — »Dziękujemy wam, panie starosto, za dobre wiadomości, teraz powieczerzajcie z nami;«

obrócił się do królowéj: »Pana starostę Żytomirskiego ci przedstawiam. Ludwisiu, to nasz gość.« — Skinął ręką na marszałka dworu, muzyka zagrała polskiego; królowa podała rękę Wąsowiczowi, który z rubaszną niezgrabnością i z pewnym rodzajem lękliwości wziął ją i pomyślał sobie: wolałbym iść do szturmu na moskiewskie okopy, albo uderzyć na bisurmański hufiec, jak prowadzić najjaśniejszą panię do stołu.

Parami zaszli do jadalnéj komnaty; kobiety i poważni ojcowie zasiedli za stołem, młodzież, stojąc za niewiastami, posługiwała, odbierając od nich talerze i oddając je służbie dworskiéj. Każda z niewiast niezapominała o swoim słudze, i hojnie go karmiła łakociami. Król sam usadowił pannę Lanckorońską obok Wąsowicza, aby mogła wypytywać o swego ojca i o znajomych z Ukrainy; hrabia z Châtre ze zgrabnością i polotem Francuza zajął miejsce za jéj krzesłem, Montresor ustawił się do posług solenizantki, a staroście Zakroczymski nie z dobréj woli, ale z przymusu obrał sobie za panią téj wieczerzy Ludwikę z Grosouvre, jednę z francuzkich panien królowéj, i tą razą zazdrościł zwinności Francuzów; nieszczęśliwy wojewodzic posługiwał hrabinie z La Grange; za krzesłem królowéj dostało się miejsce Kazimierzowi Sapieże, podówczas chorążemu Litewskiemu, a bratu Wileńskiego wojewody.

Panna Lanckorońska ciągle rozmawiała z Wąsowiczem: a stary wojak, jak się rozgadał, to gadał bez końca, śmiał się i cieszył się córką swojego hetmana, jakby własnem dziecięciem. Hrabiego z Châtre mało djabli niewzięli, bo ledwie mu tam jakieś krótkie słówko, albo nic nieznaczący uśmiech w jałmużnie grzeczności się dostały, i to nie z dobréj woli. Spijano wiwaty po wiwatach, jednym haustem za zdrowia króla jegomości i królowéj imości, solenizantki, płci pięknéj, hetmanów polskich i litewskich, Stefana Czarnieckiego, kasztelana Kijowskiego, dostojnych ojców korony i Litwy, wojsk polskich i litewskich, Francuzek i Francuzów, panów chrześciańskich sprzymierzonych z Polską, posłów zagranicznych, prawo Jana Kazimierza do korony szwedzkiéj. Przy końcu król wypił: »Niech żyje pan starosta Żytomirski, co nam przywiózł dobrą wieść!« a Wąsowicz za pozwoleniem marszałka nadwornego podniósł puhar: »Niech żyje ojczyzna i majestat tronu królewskiego! zginiemy, a niedamy się!« i wszyscy powtórzyli to zdrowie wrzaskliwie, ochoczo.

Po wieczerzy jeszcze tańcowano, trunek hulał po rozochoconych głowach, a nogi po gładkiéj posadzce. Tylko co panna Lanckorońska przetańczyła z wojewodzicem i miała tańczyć z hrabią z Châtre, kiedy przyszedł staroście Zakroczymski: »Panna hetmanówna zapewnie zapomniała zapytać o....« — Szybko odrzekła: »Pytałam, zdrów, jutro go pan zobaczysz.« — »Może i niezobaczę;« obrócił się do hrabiego i rzekł do ucha: »Moje mieszkanie na bednarskiéj ulicy u kołodzieja Pawła Smoka. Rano czekam, teraz muszę oddalić się z mojego obowiązku;« i odszedł. — Muzyka zagrała, taniec się zaczął, i po chwili się skończył. — Po północy wszyscy się porozjeżdżali.

Po tak wesołéj pohulance sądzićby można, że każdy pójdzie jeszcze we śnie marzyć o wieczornych zabawach, i na pół żyjąc, żyć rozkoszami blizkiego wspomnienia; ale nie tak się działo, nikt prawie nie spał, wszyscy się do podróży układają. Owa wesołość uczty była udanym szałem, dla zapojenia troski dręczącéj serce, dla chwilowego zapomnienia o tem, co trzeba będzie zrobić za kilka godzin. Była to uczta syna rozstającego się z rodzicami i rodziną, uczta wygnańca opuszczającego rodzinną ziemię. Każdy z nich wie, że opuszcza, co mu miłe, łakomie chwyta szał wesołości, aby zagłuszyć smutek i troskę, bo wie, kiedy jedzie, ale nie wie, kiedy powróci.

Rozdział II.

> Oj na hori, daj żynki żduť
> A po pid horoju.
> Po pid zelenoju
> Laszeńki iduť.
>
> *Stara pieśń ukraińska.*

Kiedy w królewskim zamku fraucymer królowéj Imości i służba dworska krząta się koło pakunków; na święto-Jańskiéj ulicy, tuż podle zamku, w zajezdnem domostwie, w izbie dość wykwintnie przybranéj, przechadzał się wojewodzic Kaliski, smutny, nierad, sam do siebie gadał: przeklęta szlachta uciekła; czemu niebyło się bić? mój ojciec tam dowodził, na niegoby spłynęła sława ocalenia ojczyzny! i Grudzińskich ród stanąłby obok Zamojskich, Tarnowskich, Wiśniowieckich, Chodkiewiczów, Sapiehów; a teraz wszystko przepadło! Bogdajeście sto par djabłów zjedli, ziemlacy Wielkopolanie! Oj, niezapomnę ja wam tego nigdy! Teraz panowie Czarnieccy w górę pójdą i panna hetmanówna gotowa dostać się temu szlachciurze starościcowi. Strzepnął palcami, aż koście zaklaskały we wstawach: Nie, nie na twoje zęby ten chleb! nie dostaniesz jéj! Wiem, że i Francuz na nią czyha, ale mniejsza oto, teraz z nim się sprzymierzę, a potem i jego odsadzę. Hetman cudzoziemców nielubi, a może też i mnie jakiś czyn rycerski się uda; nie traćmy nadziei, — zastanowił się chwilę: — ale ten pojedynek, to sęk! Chciałem mieć na drugiego świadka Sapiehę, Radziwiłła albo któregokolwiek z znamienitych rodzin. Na nieszczęście jeden

wyjeżdża, a drugi niema czasu. Poczciwy Gnoiński sam niechce; obiecał uprosić Ossolińskiego, albo Sanguszkę. Coby to była za przedziwna rzecz! jutroby wszędzie gadano: pan wojewodzic Kaliski bił się z jakimeś tam synowcem Stefana Czarnieckiego; świadkami wojewodzica byli hrabia z Châtre i książę Sanguszko; a tego Czarnieckiego, jakiś tam szerpetyna z pancernego znaku, albo woźny z powiatowego grodu — i każdyby dodał: swój swego znalazł. — Zacierał ręce i uśmiechał się wesoło wojewodzic.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

***Moje wspomnienia**, przez Alexandra Jełowickiego.* 2 *tomy.* 1839.

Tylko wtenczas, gdy oddaleni jesteśmy od kraju, w którymeśmy się rodzili, czujemy całą jego wartość; tęsknota nasza za nim, rozciąga się do najmniejszych przedmiotów; wszystko co tam było, dla tego już, że tam było, tam gdzie tyle lubych przemarzyło się nadziei, z kąd tyle drogich sercu naszemu pamiątek pozostało — staje się dla nas świętem i wzniosłem. — Mickiewicz dopiero w tenczas, gdy oddalony był od swego Niemna i swéj Wilii, mógł ich urok godnie opiewać — tylko oddalony od swéj Litwy, mógł zanucić w swych pięknych czasach z całą namiętnością:

Litwo! ojczyzno moja!

Tak i te pamiętniki tylko na obcéj zrodzić się mogły ziemi. Autor przypomina sobie życie i zwyczaje w ojczyznie — w ojczyznie, którą tak bardzo kocha; przypominając je sobie, patrzy na nią oczami kochanka — wszystko co w niéj dla tego, że ojczyste dobre — wzniosłe. Dla tego też nawet życie litewskie, życie prawdziwie staropolskie, życie, które nas zgubiło, życie, kiedy to zawsze było »huczno, pięknie, wesoło, dużo gości, cukierków, owoców, kwiatów, koni, psów, strzelania i zabawek«, może z zapałem opisywać! Wybaczyć mu więc można, coby się nigdy autorowi w kraju piszącemu niewybaczyło. Zresztą autor dzieła tego sam powiada: że niechce przenikać, co los zgotował, lecz tylko potoczyć wzrokiem w przeszłość. — Autor tem samem wyznaje, że nie ma mocy być wieszczem przyszłości. — Uważamy więc tylko w pamiętnikach tych rys wierny obyczajów litewskich braci, podziwiamy talent w opisywaniu, uwielbiamy styl w swojém rodzaju czarujący — jesteśmy jednak przeciwni całéj dążności dzieła, jako uwielbiającéj i uświetniającéj owo życie szlacheckie, które każdy naród prędzéj czy późniéj do zguby przyprowadzić musiało.

Autor rozpoczyna swe dzieło wierszem do matki; — i opisem kilku silniejszych wrażeń z pierwszych lat swego dzieciństwa, wrażeń, które mu dziś już tylko są szmerem odległym; dzwiękiem, którego ucho nieodgadnie, pięknością, któréj oko niedogoni. Opowiedziawszy czytelnikowi, jak mu to lubo, wesoło było w domu, jak to nie raz probując czy szron mocny, wpadł w śnieg po uszy, z jakim to zapałem deklamował Święta miłości kochanéj ojczyzny — opowiedziawszy, jak to pierwszy raz na kucyku kasztanowatem bujał, jak mu nożyk, który w podarunku od ojca otrzymał, gdy go ustami chce otworzyć, wymyka się i chwyta za wargę — przechodzi do swego kształcenia umysłowego. — Obraz ówczesny szkół Winnickich przez Czackiego na wysokiéj stopie postawionych, jest z talentem skreślony; — jak naiwnie i żywo opisuje autor swą młodość, przekonamy się z następującego wyjątku.

»Jadąc rzemiennym dyszlem, wstępując do różnych krewnych i znajomych, gdzie była taka jak my dziatwa, wybrykując z tą dziatwą, strzelając po drodze do wróbli i innych ptaszków, zapomniało się o szkołach. Zbliżamy się do miasta; widzimy ogromny gmach jakiś, myślimy sobie: musi tam być wiele dzieci, oto będziemy się bawić, pytamy:

»Papo, a wstąpimy tu?«

»Wstąpimy.«

»A dużo tam chłopców?«

»Dużo.«

»A jak się ten pan nazywa, co tam mieszka?«

»Gimnazyum.« —

Otóż masz — pospuszczaliśmy nosy na kwintę, spojrzeliśmy na posępne mury pojezuickie, spojrzeliśmy po sobie, łzy się pokręciły; żal się zrobiło za domem, za matką; stanął strach popisów przed oczyma: źle, ale cóż robić? wjeżdżamy do miasta, — paskudne, — prowadzą nas nazajutrz do szkół, — szkoły brudne, po korytarzach zimno, nauczyciele straszni.

W tem dzwonią — z milion chłopaków wylatuje z klassy i nuż w perewerty: wesoło krzyczą i nam poweselało, radzibyśmy się wyrwać do malców, i pokazać im, co to i my figlów umiemy; ale nie można, więc tylko przez okno zazdrośnie spoglądamy.

»Papo, a kiedyż my pójdziemy do tych szkół?« — a nauczyciel łaciny i greczyzny Jagiełło nieproszony odpowiada:

»Jak kawalerowie odbędą popisy.«

»Nie boimy się popisów, my wszystko umiemy.?«

»Da się to widzieć.« —

Przyszło do popisów: straszniejsze były w domu, myślimy sobie; ksiądz Skiba był przy nas, więc nic baliśmy się — popisaliśmy się doskonale; Edwarda i mnie przyjęto do trzeciéj klassy, Eustachego do drugiéj.

Było to w sobotę; w poniedziałek już mieliśmy się wprowadzić na mieszkanie właśnie do pana Jagiełły; niedzielę mieliśmy jeszcze do pohulania.

W niedzielę rano ojciec mówi: »No chłopcy, poubierać mi się dziś czysto, pojdziecie ze mną do Szczeniowskiego na obiad: a tam po obiedzie grzecznie się bawić.«

»A są tam dzieci?«

»Jest dziewczynka ładna i grzeczna.« —

Poubieraliśmy się ślicznie, ojciec każdemu poprawił czupryny, aż świeczki w oczach stanęły; ruszamy z minami tęgiemi, bo już po odbytych popisach. Przychodzimy: w pierwszym pokoju powitał nas poważny, a bardzo wesoły starzec; był to Szczeniowski, w ówczas dozorca gimnazyum Winnickiego, dawniéj prezes jakichś sądów, jeszcze dawniéj poseł na kilka sejmów i na sejm czteroletni. Z każdego sejmu dla braci obywateli mnóstwo łask ponawoził, dla siebie żadnéj nie przyjął — sam bowiem błyszczał tylko cnotą i zasługą, nie mówiąc nigdy ni o jednéj, ni o drugiéj. To też doczekał wesołéj starości, co się nie smuci żadnem nieszczęściem, bo ufa w opatrzność i spokojnie czeka jéj sądu.

»Przedstawiam ci moich chłopaków.«

»Żwawe chłopcy; — a to wnuczęta moje.«

I zaczął wywodzić po mistrzowsku długi rodowód, którego nie pamiętam wcale, choć go bardzo często potem powtarzał; a kończąc ten wywód znowu nazwał nas wnukami.

»Kiedy my wnuki, to pan dziadunio.«

»Mądre chłopcy, żwawe chłopcy.«

Odtąd tedy jużeśmy nowego dziadunia dziaduniem nazywali. Wprowadził nas do bawialnego pokoju, wskazał na żonę: »Oto wasza baba« — wskazał na nas: »Oto twoje wnuki,« — więc po koléj cmok babunię w rękę. — Aż tu z drugiego pokoju wybiega dziewczynka anioleczek; stanęła popatrzała i schowała się — znowu stanęła we drzwiach: i już się nachyliła do pierwszego poskoku; biała sukienka kołysała się z lekka, na prawéj nóżce stoi, lewą jeszcze dotyka ziemi, jak gdyby tylko na to, żeby jéj nie zgubiła, rączki na wpół podniesione, jak gdyby do latania zrywać się miała, włoski jasno złote jeszcze niespoczęły w pędzie, którym goniły za łabędzią szyjką, a błękitne duże oczki mówiły:

»mamo zawołaj mnie.« Matka dała znak, a dzieweczynka anioleczek błysnęła przez pokój, i tuż przy matce stanęła, patrząc to na nią, to na ojca, to na nas. Ojciec skończywszy rozpowiadać coś zabawnego, mówi: »Xawerko, przedstawiam ci twoich siostrzeńców.« Ciocia wyciągnęła nam rączkę, my powiadamy, że mamy taką siostrzyczkę i całujemy ją w buzię; powiedzieli nam, że to nie siostrzyczka, ale ciocia, a dziadunio wypalił nam naukę bardzo wesołą, o uszanowaniu, jakie się należy starszym, niewiastom i ciociom. Bawiliśmy się z ciocią grzecznie cały dzień aż do wieczora i t. d.«

Niepotrzebujemy pewnie wspominać, że Xawerka, luba ciocia zawróciła zupełnie głowę panu Alexandrowi; jeszcze dziś z zapałem młodzieńczem o niéj wspomina; mimo tego uczył się dobrze — i był szczęśliwy, bo mógł tę ciocię widzieć, widzieć, jak pięknaiała, jak rozwijała się w krasę i wdzięki, tak jak iskra rozwija się w płomień, jak jutrzenka rozwija się w krasę poranku; wpatrywał się w nią, jak w księżyc, jak w tęczę, jak w piękny wodospad, jak w niebo; — bo gdy podniosła duże niebieskie oczy, to się zdawało, że widzi dwa nieba, źrenice tych oczów były, jak dwa słońca: u niéj jagody, jak krew z mlekiem, świeża, jak róża, skromna jak fiołek, zgrabna jak sarneczka, lotna, jak ptaszek, wdziękiem i kibicią, dowcipem i nauką, wyścignęła wszystkie rówiennice swoje, — był szczęśliwy, bo mógł ją nazwać swoją — swoją ciocią, bo mógł z tą ciocią bawić się, tańcować, swawolić, bo myślał, że tak zawsze będzie. — Po czterech latach w Winnicy przebytych, — po ukończeniu tamże szkół udał się autor do domu. — Lecz Xawerka luba ciocia zawsze była w pamięci. Mimo zabaw, polowań, podróży, nudno było bez niéj; nie dziw więc, że wkrótce autor ojca się zapytał:

»Ojcze, czy pojedziemy kiedy do Winnicy?«

»Może wstąpimy jadąc do Krakowa,« była odpowiedź.

»A po co do Krakowa?«

»Do akademii.«

Na te słowa (pisze autor) aż mi się słabo zrobiło, pomyślałem sobie: skończyłem szkoły, byłem w Kijowie na kontraktach, sam do Odessy jeździłem, starego wilka zabiłem i mam jeszcze się uczyć? O ja nieszczęśliwy! — Goście mądrzy mówią: »I po cóż p. marszałek tak chce ich męczyć naukami? czyż to im nie zostawisz majątku, co im po nauce?« — Mój ojciec uśmiechnął się i powiedział: »Mospanie, człowiek wtedy bogaty, kiedy ma skarb w głowie; bo tedy ani mu wróg nie wydrze, ani ogień nie spali, ani woda nie zabierze.« — Tak mówiąc przekonał i gości i syna. Trzeba było p. Alexandrowi pożegnać się z domem, — lecz mógł go zapomnieć, gdyż jechał do Krakowa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Nowiny literackie z Warszawy. Maciejowski już prawie ukończył Życie domowe w Polsce XVI. wieku, wielce ważne, ciekawe, nowych szczegułów mnóstwo — a co ważniejsze, że objął literaturę tegoż wieku, to jest pisarzy prozą i poetów po polsku piszących. Czytałem w rękopiśmie, pisze kompetentny znawca, i muszę téj wielkiéj pracy uderzyć czołem.

Szabrański zamyśla daléj wydawać Panoramę, i zbiera materyały — od Nowego roku wyjdzie nowy poszyt. Encyklopedya lizie na żołwich nogach. Magazyn Powszechny schudł w formacie. Dmochowski bliżéj Pruss hreczkę siejąc, opuszcza się i w Muzeum Domowem (już podobno całkiem porzucił swe literackie przedsięwzięcia.) Co do gazet Warszawska nie warta i szeląga, najlepsza Codzienna, a po niéj Poranna.

Pan Wojcicki ukończył swoje »Stare Gawędy i Obrazy«, ryciny wygotują się w Lipsku. Między innemi jest widok Warszawy z r. 1656; drugi z Cellaryusza i brama Warszawska. Teraz zajmuje się wykończeniem dzieła o teatrze starożytnym w Polsce.

Teofil Glücksberg oddawna ma zamiar ogłosić drukiem w poprawnéj i ozdobnéj edycyi, wszystkie dzieła Kazimierza Brodzińskiego. Dłuższa zwłoka tego ze wszech miar tak pięknego przedsięwzięcia, ubliżałaby literaturze i czcigodnym cieniom autora Wiesława.

Przegląd dziejów w ostatnich nrach części 3ciéj zawiera pismo bezimienne w Perekopiu nad Donem 1800. ogłoszone, przypisywane Kniaziewiczowi albo Sułkowskiemu. Rzeź humańska, przez Adama Moszczeńskiego z Tygodnika literackiego, Potem rękopism ks. Kornelego Sroczyńskiego, byłego superiora missyonarzy Krystynopolskiego, opisujący z większemi szczegółami okrucieństwa hajdamackie w téjże rzezi, osobliwie na duchownych dokonane, zgadzające się z opisem także w tygod. lit. umieszczonym. Wyjątek ze statutów litewskich, tyczący się Nieszlachty z Czackiego. Pismo to zawiera w ogóle prawie same już rzeczy znajome wcelu upowszechnienia ich, z rzadszych lub kosztowniejszych dzieł przedrukowane, najwięcéj z Maciejowskiego, Czackiego, Wiśniewskiego etc.

Sławny liryk Beranger, pisze z P. Leroux Historyą Napoleona w 6ciu tomach, która niedługo z druku wyjdzie.

Nowa Lelia. George Sand utworzyła swoją Lelią, ów prototyp wszystkich późniejszych z obecnym społeczeństwem w walce zostających kobiecych charakterów, otwierając w niéj krytyce najobszerniejsze pole, i niejako skalę do wytknięcia wszystkich zalet i błędów téj sławnéj autorki. Dość znaczny przeciąg czasu od napisania tego dzieła, wpłynął przeważnie na sposób myślenia P. Sand, która wydając powtórnie zupełnie przerobiony, a jak Francuzi mówią przelany (refondu) ten sławny romans, odpowiada w niem krytyce. Charakter bohaterki został na pozór tenże sam, ale innym sposobem jest rozwinięty i lepiéj uzasadniony. Kto Lelią znał dawniéj, znajdzie ją w téj nowéj postaci szlachetniejszą głębiéj myślącą i czującą; a oraz, co jedno z drugiego wypływa, nie z tak zakrwawionem sercem, choć jeszcze w walce z panującemi wyobrażeniami. Nowa ta Lelia wyszła w tych dniach z druku w Paryżu.

Z Lwowa donoszą: Wyszło tu świeżo dziełko Władysława księcia Saguszki o chowie koni. Sławuckie stada koni Sanguszków sławne są w dawnéj Polsce. Autor, lubownik i posiadacz pięknych koni, podał tu dla użytku ziomków to, co mu się z własnych doświadczeń powszechnéj wiadomości godnem zdawało.

Pod prassą znajduje się dziełko Konstantego Pawlikowskiego: o owcach.

Żegota Pauli wygotował do druku noworoczniczek pod napisem Zorza, który już otrzymał pozwolenie cenzury krajowéj.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca na ten kwartał 1 Talar przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*